

Krzysztof Krawczyk - biografia

Publikacja „Chciałem być piosenkarzem. Biografia Krzysztofa Krawczyka” autorstwa Anny Bimer była zaplanowana na 75. rocznicę urodzin Krzysztofa Krawczyka, jednak artysta zmarł 5 maja. Książka ukaże się jako pierwsza niezależna biografia artysty po jego śmierci. Dzięki współpracy z Domem Wydawniczym Rebis prezentujemy fragment, który został specjalnie wybrany dla naszej redakcji. Dotyczy Łodzi.

Chciałem być piosenkarzem

Jest rok 1963, pierwsze występy Trubadurów wzbudzają entuzjazm.

- Mówiłem: zobaczycie, jeszcze będzie nas zapowiadał Kydryński - opowiada Kowalewski. - A Krzysiek początkowo nie dowierzał.

Zafascynowani Beatlesami chłopcy z Łodzi chcieli stworzyć kwartet wokalny-instrumentalny o takim samym składzie jak z Liverpoolu: trzy gitary plus perkusja.

- To ja wybrałem nazwę, podobało mi się mocne, męskie brzmienie słowa „trubadurzy” - przyznaje Sławomir Kowalewski. - Natomiast Krawiec podsunął pomysł występowania w strojach muszkieterskich. Mariana Lichtmana skłoniliśmy do przyjęcia roli bębniarza, choć początkowo upierał się przy gitarze. Ale kiedy tata Lichtman za naszą namową zainwestował w bębny, Marian dał się przekonać. Czwartym do brydża został Jurek Krzemiński.

„Te nasze pierwsze stroje z bardzo grubego granatowego materiału po każdym koncercie można było wykręcać” - opowiadał Krzysztof.

Pozostawały dwie kwestie: repertuar i nauczanie Krawczyka gry na gitarze.

- Latem po dziesiątej klasie wybraliśmy się na wakacje do Mielna: Krzysiek, Grażyna, ja i moja ówczesna sympatia, Inka Karolczyk - wspomina Kowalewski. - Skomponowałem wtedy wiele piosenek, a z Krzyśkiem napisaliśmy do nich słowa. Nauczyłem go wtedy grać na gitarze prawie wszystkie akordy. Zaskakiwał mnie szybkością nabywania umiejętności gitarzysty. Byłem pod dużym wrażeniem. Miał jednak problem z jednym chwytym gitarowym: barte, w którym trzeba palcem przytrzymać przy gryfie wszystkie struny. Był tak oddany nauce, że zgodził się spać z ręką owiniętą szmatką czy chustką, z palcem przygiętym do dłoni. Dobrze kilka nocy! A kiedy wróciliśmy do Łodzi, był już dobrym gitarzystą akompaniującym. Systematycznie robiliśmy próby. Już wtedy miał w sobie ogromną determinację.

Powojenne rany zostały lekko zabliznione, wraz z nadejściem politycznej odwilży młodość domagała się swoich praw. Seks wirował w rytm twista, szerokimi spódnicami dziewczyn, obowiązkowo podkreślającymi talię. Panowie z mandolinami na głowach woleli chwycić za gitary niż za karabiny. W latach 50. i na początku 60. na parkietach rządziły twist, jive i rock and roll. A przede wszystkim entuzjazm.

Mistrzowsko wirującym parom inni ustępowali miejsca na środku sali, jak w Dirty Dancing. Taki zwyczaj panował na fajfach, czyli potańcówkach organizowanych w szkołach, klubach i świetlicach o godzinie 17. Młodzież biegała na nie masowo. Dorośli bawili się na dancinгах: w łódzkiej Adrii, w Savoyu, Grand Hotelu. Spokojniej, lecz bawili się! Chciało się żyć, być, wyglądać, zwłaszcza w mieście filmu, który wtedy najszybciej niósł po świecie nowe wzory i mody.

Ale oczywiście nie od razu Łódź rozbujano...

Było biednie i trudno, bo często ktoś bliski siedział w więzieniu albo ktoś nie wrócił, a inny – został za granicą. Miasto miało niszczącą, lecz piękną secesyjną architekturę, sporo tu ocalało willi i pałaców, często w parkach i ogrodach. Było zielono. Budynki starych fabryk i metalowe schody wielu kamienic pamiętały czasy Reymonta. Tradycyjnie mieszkali w mieście ludzie różnych nacji, potomkowie fabrykantów jak z Ziemi obiecanej. Istniał więc wielokulturowy ferment twórczy.

– W mojej szkole na liście uczniów spotykały się nazwiska poniemieckie, żydowskie i polskie. To była znana Trójka na Sienkiewicza. A na ulicy Pereca mieściła się szkoła żydowska, do której zresztą chodził Marian Lichtman i siostry mojej przyjaciółki z ławki – Róży. Tam powstał zespół Śliwki – wspomina Katarzyna Miller. – Z kolei ja chodziłam do szkoły, która mieściła się w starej kamienicy, była piękna, miała marmurowe schody, szlachetne parkiety, balustrady i posągi. A nawet aulę. Obcowało się z częścią starej Łodzi, kiedyś bardzo bogatą. Potem to miasto, w ogromnej mierze włókiennicze, stało się smutne i zmęczone, lecz na tym tle istniała pewna grupa czy środowisko artystyczno-młodzieżowo-inteligenckie. Myśmy na wagarach nie robili głupich rzeczy, graliśmy w brydża. W latach 60. klub Pod Siódemkami na Piotrkowskiej stanowił mekkę młodzieży. Tam się odbywały koncerty, bale, wystawiano sztuki. Działała filmówka i rodziła się polska szkoła filmowa, istniała również szkoła plastyczna, bo przecież od 1930 roku było tu Muzeum Sztuki Nowoczesnej, jedno z najstarszych kolekcjonujących sztukę awangardową. W Łodzi swoją batalię z socrealizmem toczył Władysław Strzemiński i tworzyła jego żona Katarzyna Kobro. Były w mieście opera i operetka, sporo kin i świetne teatry. Bo przecież zaraz po wojnie ludzie chętnie osiedlali się w Łodzi. A potem pociągami Warszawa–Łódź podróżowali aktorzy, reżyserzy i inni twórcy do wytwórni filmowej. Dzień w dzień tą samą trasą kursował pociąg pełen wybitnych, artystycznych pasażerów.

W tych artystycznych kręgach wszyscy się jakoś znali. Za radą Januarego Krawczyka i dzięki jego poparciu Trubadurzy stawili się u dyrektora Estrady. Zaczęli występować, zdobywać szlify i popularność.

– Krzysiek potrafił się zachować jak prawdziwy muszkieter: szlachetny i rycerski – mówi Sławomir Kowalewski. – Za Grażyną nosił torbę z książkami, kiedy wracaliśmy ze szkoły.

Do czasu. Bo choć wzięli z Grażyną ślub, Krzysztof szybko uznał, pod wpływem sławy, że wierność jest nudna.

– Podobały się występy Trubadurów i oni sami wpadali dziewczynom w oczy – przyznaje Grażyna Krawczyk. – Widziałam to, że Krzysiek lubił się podobać. Lgnął do ludzi, zrobił się towarzyski, a obycie estradowe sprawiało, że umiał się zachować, wychodził do innych, pierwszy wyciągał rękę na powitanie... Cała moja młodość to Krawiec, jak nazywaliśmy Krawczyka. Wspólna szkoła, koncerty, potańcówki, wyjazdy. Było wesoło, rodzinnie. Prowadziłam bar Grażyna Się Przypomina, z czego chłopcy chętnie korzystali i sobie tam dojadali. Byłam dwa lata starsza od Krawca. Wspierałam go po śmierci ojca, dbałam, i wszystko było dla Krzysia, dla Krzysia.

– Gdyby Krawiec został przy Grażynie, byłby dzisiaj milionerem. To bardzo porządna dziewczyna i Krzysiek bardzo ją kochał – podsumowuje Lichtman. – Pamiętam ich ślub, trudno, żebym zapomniał, bo Krzysiek mnie, Żyda, zmusił do bycia świadkiem na katolickim ślubie kościelnym. Bronilem się, a on, wariat, szaleniak, uparł się. Przyjaźń to przyjaźń, co tam religie, kościoły czy bogowie. Nie miałem wyjścia.

Łódź zaczynała być muzycznym zagłębiem. Tu powstały tak popularne zespoły jak Trubadurzy czy No To Co. Jerzy Grunwald, wokalista tej drugiej kapeli, wspomina:

- Muzyka nas wtedy integrowała, była naszą zabawą i pasją. Zupełnie nie myślało się o zarabianiu. Nie istniał rynek muzyczno-fonograficzny taki jak dzisiaj. Nikt nie projektował karier, nie kreował gwiazd, nie było zajadłej konkurencyjności. Jeśli nawet odrobinę rywalizowaliśmy ze sobą, to i tak byliśmy kumplami z jednego miasta, klubu, z jednej bajki. Trudno było nie znać Trubadurów i Krzyśka. Już wtedy świetnie się zapowiadał. Potem bardzo ładnie poszedł w górę, co trzeba mu oddać, choć nie taki obrał kierunek, w którym bym gustował. Płyty jego nie kupowałem, ale determinacja i skala osiągnięć jest bezdyskusyjna. Szkoda, że nie dbał o swój organizm, o czym świadczy ta jego tusza.

- Stale rozmawialiśmy o muzyce, ta pasja była obecna w nas na co dzień i przewyższała wszystko inne - mówi Lichtman. - Pamiętam, że potrafiliśmy iść po ulicy i śpiewać ciężkie akordy.

- Wielkim problemem w tamtych czasach było zdobycie instrumentów i sprzętu muzycznego - wspomina Kowalewski. - Nie dość, że były to drogie rzeczy, to jeszcze trudno dostępne. Krzysiek o mały włos nie zgubił w tramwaju nowo kupionej gitary. Ja poddawałem renowacjom struny do gitary, gotując je w wodzie. A sprzęt nagłaśniający mieliśmy dość prymitywny. Zdarzyło się nam jednak podłączyć do profesjonalnych odsłuchów zespołu The Lords z RFN, z którym występowaliśmy jako support. Dopiero wtedy okazało się, jakie naprawdę mamy brzmienie: publiczność oszalała, a zespół niemiecki dziwnym trafem więcej nam sprzętu udostępnić nie chciał.

Łódź w przyszłości wyda jeszcze wielu znanych muzyków estrady, m.in. zespoły Happy End, Varius Manx, Ich Troje, Blue Café. W czasach pretrubadurowych lokalną sławę zyskały Śliwki - grupa przeformowana potem w zespół o nazwie Nie Wszystko Na Sprzedaż.

Z Łodzią związani byli Andrzej Nebeski i Włodzimierz Wander z Niebiesko-Czarnych, którzy później założyli zespół Polanie. Ale co dla losów Krzysztofa Krawczyka ważniejsze, Wander wyjechał do USA i w Chicago założył klub Wanderland, który stał się drugą po Opolu stolicą polskiej piosenki, gdyż stale koncertowali tam wokaliści i zespoły z kraju. W tym Krzysztof Krawczyk.